

Helena Pilejczyk

Dokończenie ze str. 24

się w życiu zmieniło. Na mistrzostwach Polski pojechały fatalnie, łożyły się przy starcie wszystkie po kolei, poza pierwszą. Trener zalecił, żeby przy zmianie lekko popchnąć partnerkę do przodu. Skutek był taki, że trzy leżały. Po zakończeniu mistrzostw Kazimierz Kalbarczyk zgłosił bicie rekordu. Pojechały i pobiły. Helena także!

Po raz drugi poczuła, że ma jednak szczęście, w 1960 roku po Igrzyskach w Squaw Valley. Miała już brązowy medal olimpijski, uczucie niedosytu, że mogła lepiej, szybciej pojechać, że coś jej jednak umknęło, jakaś bardzo ważna sprawa do załatwienia w tej małej, amerykańskiej osadzie. Kibicom jednak to wystarczyło. Polonia była szczęśliwa, świętowała sukcesy dwóch Polek, bo Elwira Seroczyńska zdobyła wtedy medal srebrny.

Stały na podium. Polonia tańczyła, a dziewczyny poznawały amerykański, wielki świat, znany z pocztówek i filmów. Zapraszano je w przeróżne dziwne miejsca, trafiły jako goście do Disneylandu i oczywiście do... kasyna gry. Na cały pobyt miały po pięćdziesiąt dolarów na głowę, co okazało się sumą niezbyt wielką. W każdym razie Helena Pilejczykowa po długich namowach skusiła się, żeby wymienić dwa dolary na żetony i zagrać. Maszynę do takich gier zna dzisiaj każde dziecko, nazywa się ją popularnie jednorękiem złodziejem – co samo się tłumaczy, ale wtedy atmosfera kasyna była nowością i miała smak zakazany. Gra trwała chwilę, żetony jeden po drugim znikwały w bezsensownej, blaszanej puszcze, a za szybką nie ukazywały się trzy portrety właściciela lokalu, co miało oznaczać nagrodę najwyższą. Wreszcie maszyna zaczęła dzwonić, świecić się, wszyscy przerwali grę. Helena Pilejczyk rozbila bank. Nie był to najzamożniejszy bank na świecie, bo wysypało się wszystkiego sześćdziesiąt dolarów, ale radość była ogromna. Kiedy następnego dnia zawitała do innej miejscowości, lokalna prasa zdążyła zrobić już z niej prawie milionerkę. Wtedy los pokazał ją palcem po raz drugi i, jak twierdzi, ostatni.

Resztę radości załatwiała sobie sama pracą. Tyle może, że tę pracę bardzo lubiła. Mówi o sobie, że należała do zawodniczek cieszących się treningiem. Należało ją raczej powstrzymywać niż zachęcać.

Początek drugiego sezonu, w roku pięćdziesiątym trzecim, przepracowała bardzo ostro, bo uwierzyła już w swoje łyżwiarstwo. Latem grała jak zwykle w siatkówkę i uprawiała co się da z lekkiej atletyki, a od września zaczynał się trening łyżwiarski. Najpierw na sucho, od listopada już na lodzie. Wynik pracy był taki, że na mistrzostwach Polski pobiła trzy rekordy kraju – na trzy kilometry, pięć tysięcy metrów i na pięćset. Została jednak tylko wicemistrzynią, gdyż Elwira Seroczyńska też biła rekordy i... wygrała więcej biegów.

„Nie dorastałam jeszcze doświadczeniem. Kiedy przyszło do ostatniej rozgrywki i wiadomo było, że tytuł najlepszej zdobędzie zwyciężczyni

Mówi, że potrafiła przegrywać. Porażka budziła w niej wielką wewnętrzną złość, ale znosiła ją ze spokojem.

„Nigdy po przegranym biegu się nie usprawiedliwiałam. Zawodnicy opowiadają, że noga, że łyżwy nie tak, że dali sobie spokój, bo nie mieli ochoty. Nigdy tego nie robiłam. Chciałam wygrać i tego nie ukrywałam, ale moje przeciwniczki też chciały i za to lubię sport. Jeżeli każdy bardzo chce wygrać, wtedy jest wspaniała walka!”

Zawsze w czasie zawodów była nieprzytomna. Nic, ani wyniki, ani słowa trenera do niej nie docierały. Dlatego, przypuszcza, nie sprawdzała się na krótkich dystansach. Bardzo lubiła pięćset metrów, ale zanim się ocknęła, już był koniec jazdy. Wynikały z tej nieprzytomności sytuacje śmieszne. W pięćdziesiątym szóstym roku była w dobrej formie, zupełnie nieźle wypadła na tle Rosjanek, z którymi zdarzało się jej razem startować i które były jedynymi zagranicznymi przeciwniczkami, dobrze notowanymi na rynku łyżwiarskim. Władze sportowe obiecywały start w mistrzostwach świata, ale dopiero po dokładnym sprawdzeniu i porównaniu umiejętności. Przyjechały więc na zawody dwie zawodniczki NRD. Jedną z nich była ósma, a druga jedenasta na świecie. Wygrana z nimi miała otworzyć światowe perspektywy. Pilejczykowa wystartowała w jednej parze z najgroźniejszą Niemką, zapomniała jak zwykle o całym świecie. Przejechała linię mety pierwsza, Niemka chwilę później. Rozejrzała się nieprzytomnie i zadała pytanie, którym wprawiła w radość całą ekipę: „Czy wygrałam?” Po tych zawodach uznano, że trzeba dziewczyny wysłać w świat. Tego roku mistrzostwa były w Finlandii.

Następne odbyły się w Szwecji i Pilejczykowa została piątą zawodniczką na świecie. To było wiele. Uznali z mężem, że najwyższy czas zrobić przerwę. Wróciła do Polski, pobiła jeszcze w szybkim tempie jedenaście rekordów krajowych. Na pierwszych zawodach pięć, na drugich pięć, na trzecich tylko jeden. Następnie zostawiła łyżwy i zajęła się sportami lżejszymi, trochę biegała, grała w tenisa. Syn Jarek urodził się pierwszego grudnia. Dwa miesiące później, w lutym, wystąpiła już w mistrzostwach Polski. Była piątą w kraju. Od lata zaczynał się sezon przedolimpijski, łyżwiarki włączono dopiero jesienią. Znalazła się w grupie pięciu dziewczyn, rywalizujących o prawo wyjazdu na Igrzyska. Znowu miały się sprawdzić. Jeżeli zajmą punktowane miejsce w nadchodzących mistrzostwach świata – pojedą... do Squaw Valley.

Łyżwiarstwo szybkie tym się między innymi różni od biegów, że do końca nie wiadomo kto wygrał. Każda z zawodniczek zna swój czas, może czuć, że jest on dobry lub słaby, wie jaką pozycję zajmuje w stosunku do jadących przed nią, ale nie wie co zdarzy się w następnych przejazdach. Może raptem wygrać, albo spaść na dziesiątą pozycję. Na decydujących o wyjeździe mistrzostwach świata w Imatrze na pięćset metrów